



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Danuta Sokół

Dziewczyna z Powiśla

W chwili wybuchu wojny liczyłam 6 lat i 5 miesięcy. Ot, taki mały szkrab. Byłam jednym z czworga dzieci Leonarda i Marianny Kuligowskich. Zamieszkivaliśmy w Warszawie w dzielnicy Powiśle, przy ul. Lipowej 9. Tam też upłynęło dzieciństwo moje i mojego rodzeństwa: Irenki, Wandzi i najmłodszej pociechy naszych rodziców – Jureczka, urodzona 27 sierpnia 1939 roku.

Nasze dzieciństwo do czasu wybuchu wojny było nader skromne, jeśli chodzi o warunki bytowe, ale spokojne i bezpieczne. Wychowywane byliśmy w poszanowaniu rodziców, rodzeństwa, sąsiadów, pracy. Wpajano nam podstawowe normy moralne.

Warunki egzystencji naszej rodziny były bardzo skromne. Tylko pracowitość i zapobiegliwość rodziców: Leonarda i Marianny, pozwalały nam na spokojne dzieciństwo. Tak było do dnia 1 września 1939 roku.

Muszę szczerze wyznać, że mimo młodego wieku, słuchając rozmów dorosłych czułam, że zbliża się coś strasznego, groźnego, coś, z czego ani ja, ani moje siostry nie zdawałyśmy sobie w pełni sprawy. Fakt, że rodzina w przededniu wybuchu wojny powiększyła się o niemowlę nam siostrom sprawił wielką radość, natomiast rodzicom przysporzył wielkiego niepokoju.

Pamiętam pierwsze naloty, huk bomb, ogień i dym nad miastem. I ten paniczny strach, gdy w pośpiechu uciekaliśmy wraz z innymi lokatorami kamienicy do piwnic, szumnie wtedy nazwanych schronami. Muszę w tym miejscu nadmienić, że kamienica, w której mieszkaliśmy, choć liczyła 4 piętra, przy uderzeniu bomby stałaby się jedynie kupką gruzu, co stało się faktem w późniejszym okresie. Pamiętam atmosferę panującą w piwnicach – schronach: ścisk, strach, przerażenie, obawa czy nadlatujące niemieckie samoloty nie rzucą bomb właśnie na nasz dom. A przecież wiadomym jest, że Powiśle od pierwszego dnia napaści Niemców na Polskę i po rozpoczętym szturmie na Warszawę pozostawało pod zmasowanym atakiem. Wciąż łuny, dymy, ograniczenie swobody poruszania się ze względu na możliwość alarmów, apele wzywające warszawiaków do schronienia się w piwnicach, opuszczenia mieszkań znajdujących się na wyższych piętrach. To właśnie stało się w tych tragicznych, niezapomnianych po dziś dzień dniach, smutnym wyróżnieniem naszego dzieciństwa, a w szerszym zakresie – dzieciństwa dzieci nie tylko Warszawy, ale i całej Polski.

Nowym akcentem tej wojennej rzeczywistości stał się głód. Wszak wyczerpały się niewielkie zapasy chleba, sucharów, mąki. Coraz trudniej było wyżywić rodzinę choć na minimalnym poziomie. Najbardziej dramatycznie przedstawiała się sprawa wykarmienia naszego młodego braciszka. Urodzony na 3 dni przed wybuchem wojny, został najpierw ochrzczony „z wody”, przy wtórze rozrywających się bomb, a potem między jednym a drugim nalotem – w kościele św. Teresy od Dzieciątka Jezus przy ul. Tamka.

Dziś już nie pamiętam, czym nasza Mama karmiła swą najmłodszą pociechę. My natomiast za największy przysmak uważaliśmy suchary, przygotowane jeszcze przed wojną oraz zupę z brukwi lub marchwi. Tak, te „przysmaki” pamiętam po dziś dzień.

Ponieważ podczas nalotów uszkodzone zostały wodociągi, w przerwach między nalotami biegało się nad Wisłę po wodę. Warszawa broniła się bohatercko w tej jakże nierównej walce. Niemcy zrzucaли bomby. Płonęły domy, szpitale, szkoły. Przeciw tej nawałnicy ognia bronili Warszawy żołnierze, ludność cywilna, a nawet dzieci. I prezydent Stefan Starzyński, za którym powtórzę słowa z jego pamiętnych przemówień: „Chciałem, by Warszawa była wielka. Wierzyłem, że wielka będzie. (...) I Warszawa jest wielka. Gdy teraz do Was mówię, widzę ją (...) w całej wielkości i chwale, otoczona kłębam dymu, rozczterwioną płomieniami ognia, wspaniałą, niezniszczalną, walczącą Warszawę”.

Najeźdźca okazał się silniejszy – oczywiście militarnie, bo duch i wola walki warszawiaków były stokroć większe. Miasto zapłaciło wielką cenę za próbę odparcia ataku. To, co było dla mnie najbardziej oczywiste, co utkwilo mi w pamięci i wyobraźni, to widok ruin, zgliszcza, zasypane ulice, a po złamaniu oporu stolicy – nowa, nawet dla dziecka przerażająca scena: widok Niemców uzbrojonych po zęby, niemieckie transportery, a potem napisy, zmiana nazw ulic.

Teraz już nie mieszkaliśmy przy ul. Lipowej, lecz przy Lipowastrasse. Jedną rzecz, która utrzymywała nas przy życiu to fakt, że dom nasz ocalał, że wszyscy nasi bliscy przeżyli. Bo przecież w tym krótkim czasie na naszych oczach dokonano się unicestwienie naszego rodzinnego miasta. Tysiące ludzi oplakiwało swych bliskich. Taki był pierwszy etap mojego wojennego dzieciństwa. Byłam zbyt mała, aby snuć rozmyślenia, co będzie dalej. To zapewne spędzało sen z powiek naszych rodziców. Jedno jest pewne – paniczny lęk przed tym nieznanym udzielał się nawet najmłodszym mieszkańcom zdobytej przez Niemców w krwawym boju Warszawy. Ten lęk przeżywałam również ja. A potem nastąpiła okupacyjna rzeczywistość.

W 1940 roku podjęłam naukę w szkole nr 41 przy ul. Drewnianej 8. Moją ukochaną nauczycielką i wychowawczynią była pani Irena Lewandowska. Dzięki niej po raz pierwszy sięgnęłam po „zakazany owoc”, jakim w tym czasie były utwory wybitnych polskich poetów i pisarzy. Wtedy ukradkiem czytałam namiętnie, a co ważniejsze – nauczyłam się na pamięć poematu „Ojciec zadżumionych” Słowackiego, „Wiesław” Brodzińskiego, „Maraton” Ujejskiego i wielu innych. Wspaniałych utworów, które na trwałe zapisały się w mej pamięci. A miałam wtedy zaledwie 9-10 lat.

Marcowy dzień, a właściwie już wieczór 1943 roku. Wieczór okupacyjnej rzeczywistości. Wszystko, co za chwilę miało się zdarzyć widzę jak na ekranie, jakby to rozgrywało się w tej chwili, obecnie. Cała rodzina: ojciec, mama, dzieci znajdowali się w mieszkaniu. Był to jeden niewielki pokój. Pamiętam nawet miejsca i zajęcia poszczególnych osób. Ojciec, nasz kochany Tata, czytał w skupieniu jakąś gazetę. Mama krzątała się przy kuchni. A dzieci – jak to one – bawiły się. Dochodziła godzina 20-ta, a więc godzina policyjna, po której nikt już nie mógł poruszać się bezpiecznie po ulicach. Okna zasłonięte czarnymi roletami. Za chwilę dozorca zamykał bramę. Nagle ciszę przerwało gwałtowne łomotanie do naszych drzwi, a jednocześnie z hukiem zostały one otwarte. Małe mieszkanie zaroilo się od niemieckich żandarmów, uzbrojonych po zęby, z karabinami gotowymi do strzału. Wpadli do mieszkania jakby mieli zdobywać warownię. Rozległ się krzyk matki, płacz dzieci. Ociec został otoczony przez Niemców, krzyczących i żądających czegoś. A my w oddali, skupieni blisko siebie, płaczący, bez prawa dostępu do ojca. Mama trzyma na ręku niespełna 4-letniego syna i mówi: „patrzcie dzieci, panowie zabierają wam tatusia!”. A wtedy odzywa się jeden z żandarmów i łamaną polszczyzną mówi: „jeśli będzie niewinny – wróci” i szybkim gestem, jakby dla usprawiedliwienia głaszcze naszego małego braciszka po głowie. Nie pozwolili nawet pożegnać się ojcu z dziećmi i z żoną. Wyprowadzają go. Za chwilę ginie nam z pola widzenia. Słysząc trzask zamykanych drzwiczek niemieckiego samochodu i warkot zapuszczonego motoru. Niestety nigdy już nie było nam dane zobaczyć go czy usłyszeć. Pvano, po nieprzespanej, pełnej bólu i łez nocy, dowiedzieliśmy się o akcji wyciągania z domów wielu mieszkańców Powiśla. Dopiero po pewnym czasie dowiedziałam się, że wszelkie próby dotarcia przez matkę do naszego ojca, nawet przez opłaconego niemieckiego adwokata, spełzły na niczym. Wybuch powstania w getcie uniemożliwił jakiegokolwiek dochodzenie przyczyn aresztowania ojca. „Uczciwy” niemiecki adwokat zwrócił nawet część pieniędzy. A potem nadeszły pierwsze listy z Pawiaka.

Nastąpiły nowe okupacyjne dni. Choć nie było już wśród nas ojca, nasze wojenne dzieciństwo trwało nadal. Przede mną i moim rodzeństwem jeszcze wiele dni, tygodni, miesięcy okupacyjnego terroru. Wzmógł się lęk o bliskich, wszak nasiliły się łapanki uliczne i akcje odwetowe. Zdarzało się więc, że w zastępstwie starszej siostry Irenki byłam wysyłana w celu załatwienia różnych spraw. Wsiadałam wtedy do kursującego przez Powiśle tramwaju „P” i jechałam, często z duszą na ramieniu, do centrum Warszawy. Mimo, że byłam 10-letnim dzieckiem musiałam współuczestniczyć w zdobywaniu środków do życia naszej rodziny. Jechałam więc z pudłem pączków upieczonych w domu przez mamę i siostrę, stawałam u zbiegu Miodowej i Senatorskiej lub Nowego Świata i Alei Jerozolimskich i sama głodna z drżeniem serca oczekiwałam, by ktoś z przechodniów kupił 1, 2, a może więcej ciastek.

Pamiętam pewne zdarzenie z tym związane. Podszedł raz do mnie umundurowany Niemiec, popatrzył, powiedział coś do stojącej koło niego kobiety. Nogi ugięły się przede mną ze strachu. I oto usłyszałam słowa po polsku: „Proszę zapakować 10 pączków”. Chyba nigdy w życiu tak nie drżały mi ręce, jak wtedy, gdy zawijałam te pączki w zwykły biały papier. A potem z kilkoma pozostałymi pączkami pędem wracałam do domu, by bliskim opowiedzieć o tym zdarzeniu. Mama podzieliła przyniesione pączki i dzieci miały tego dnia frajdę. Ale pączkami nikt rodziny nie wyżywi, dlatego uczucie głodu doskwierało nam często.

Nastał rok 1944. Czwarty rok okupacyjnej gehenny. Ja i moje rodzeństwo nie rozumieliśmy przecież wielkiej polityki, chociaż dochodziły do nas strzępy rozmów ludzi dorosłych, informacji czy zdarzeń. Pamiętam niektóre z nich. Oto Niemcy nakryli w naszym domu grupę konspiracyjnej młodzieży. Nadszedł list od ojca, ale już z Auschwitz. Znów Niemcy dokonali ulicznej egzekucji Polaków. Szeptano o akcji mającej na celu usunięcie niemieckiego napisu z podstawy pomnika Kopernika. Wraz z dorosłymi mieszkańcami Warszawy ukradkiem zapalałam znicze, mówiłam pacierz przed miejscami straceń, których przybywało w błyskawicznym tempie na ulicach miasta.

Znów biegłam ze swoją misją specjalną do mojej wychowawczynie, pani Ireny, z listem od ojca, który ona pomogła nam przetłumaczyć. Zbliżało się lato. Tuż przed wakacjami ukończyłam 4 klasę szkoły podstawowej, chyba już nie w szkole przy Drewnianej, skąd Niemcy nas wyrzucili, lecz na Sewernowie.

I tak nastał 1 sierpnia 1944 roku. Dzień najpiękniejszy – jako dzień zrywu powstańczego przeciw butnemu najeźdźcy i okupantowi, a jednocześnie najbardziej tragiczny ze wszystkich okupacyjnych dni. Nie tylko mnie, ale całej mojej rodzinie, wszystkim warszawiakom walił się w gruzy cały świat, bo oto w nierównej walce z ludnością cywilną, z bohaterskimi powstańcami – wróg zwyciężał. Widowym tego znakiem była dopełniająca się ruina naszego miasta, wszechogarniające łuny i zgłiszcza. I nadszedł dzień (był to przełom sierpnia i września), gdy wycieńczonych, pełnych obaw o los własny i bliskich – Niemcy wypędzili nas brutalnie z domu przy ul. Lipowej 9. Dom jeszcze wtedy istniał – wśród otaczających go zewsząd gruzów i zgłiszczy. Moja rodzina jak stała, z małymi węzełkami na plecach, ruszyła popędzana okrzykami i kolbami karabinów w stronę swego przeznaczenia. Nikt nie wiedział, gdzie i dokąd pędzą nas Niemcy. Łzy i lęk w oczach. To już chyba koniec. Jakże wstrząsający był widok naszego drogiego nam Powiśla. Łuny, ruiny, zwłoki poległych, ciała rannych. W głuchej ciszy, przerywanej odgłosami strzelaniny i wybuchających bomb przesuwali się ten korowód cieni. Starcy, dzieci, kobiety, mężczyźni – wszyscy szli pieszo, raniąc nogi, potykając się o gruzy. Nasza mama co jakiś czas brała naszego małego braciszka na ręce, bo on nie zdążył w panice założyć sandałów na nogi. Nad głowami zmaltretowanych, zbolałych mieszkańców Powiśla przelatywały z hukiem niemieckie samoloty. W każdej chwili mogły spaść bomby na maszerującą kolumnę. To był koszmar. Za chwilę miało się dopełnić dzieło zniszczenia miejsc, w których upłynęło nam dzieciństwo, gdzie pozostał cały dorobek życia naszych rodziców. A kiedy zśliśmy ulicami krwawiącego miasta jedyną rzeczą ocaloną z powstańczego piekła było nasze życie.

Przeżyliśmy koszmar wojny, okupacji, ciężkie dni powstańczej epopei. Przeżyliśmy, choć wokół nas czaiła się śmierć. Wraz z tysiącami warszawiaków, podobnie jak my pędzonych przez zrujnowane miasto, zatrzymywaliśmy się na wyznaczonych przez Niemców „przystankach”: w kościele Św. Wojciecha na Woli, obozie przejściowym w Pruszkowie. Później transport pociągami towarowymi.

Wzmagał się lęk o życie, o to, czy nas nie rozdzieli z bliskimi. Tu ostatni raz moja matka widziała swego brata i jego żonę. Zostali brutalnie oddzieleni i skierowani do transportu. Kierunek – Dachau i Ravensbrück. Ogarnął nas lęk o naszą Irenkę, najstarszą siostrę, by jej Niemcy – jako dorastającej dziewczyny – nie oderwali od nas. Utkwił mi pewien szczegół z tych właśnie dni: Irenka miała być teraz Danusią, a więc wzięła moją metrykę i... udało się. Przeszła dalej razem z nami.

Kiedy nasza mama wiosną 1945 roku dotarła do miejsca, które nie tak dawno było naszym miastem, gdy dotarła na Powiśle – zobaczyła tylko morze gruzu, zasypane ulice i naszą Lipową zrównaną z ziemią. Wszystko zostało zniszczone i dlatego nie widziała szans na powrót do Warszawy. Może gdyby dzieci były większe, gdyby było więcej siły i wiary, że da się radę... Gdyby był z nami nasz ojciec... Może wówczas wszystko ułożyłoby się inaczej. Wszak warszawiacy jak mrówki, jak ptaki – zaczęli wracać do swego miasta. Nas przytłoczył ogrom zniszczenia. Straciliśmy dosłownie wszystko, a w niedługim czasie mieliśmy się dowiedzieć, że oto jesteśmy sierotami, gdyż życie naszego ojca dopełniło się daleko poza granicami umęczonej Polski – w Mauthausen. Przetransportowany we wrześniu 1944 roku z Oświęcimia do Austrii, podjął próbę ucieczki. Przebywał prawie dwa miesiące poza terenem obozu. Ponośnie schwytany, został osadzony w szpitalu więziennym, gdzie 16 lutego 1945 roku zakończył życie.

Po wypędzeniu nas ze stolicy we wrześniu 1944 roku ja i moja ocalała rodzina podzieliłiśmy los ogółu warszawiaków. Trafiliśmy do gospodarzy na wieś, zdani na ich łaskę. Niejednokrotnie był to gorzki chleb. Skoro jednak przeżyliśmy tę wojenną pożogę, nie można było się załamywać. Trzeba było poderwać się do nowego życia.

Takie oto było w ogólnych zarysach moje wojenne dzieciństwo. Głęboko zapadło mi ono w sercu i pamięci.